

MIROSŁAWA
KARETA

BEZIMIENNI

WYDAWNICTWO WAM

© Wydawnictwo WAM, 2016
© Mirosława Kareta-Gala, 2016

Opieka redakcyjna: Dorota Trzcinka
Redakcja: Aleksandra Motyka
Korekta: Ilona Klimek
Projekt okładki: Izabella Marcinowska
zdjęcie na okładce: © Rekha Garton/Arcangel Images
Skład: Lucyna Sterczewska

Postaci i wydarzenia opisane w książce są fikcyjne.
Wszelkie podobieństwo do prawdziwych osób
lub zdarzeń jest przypadkowe i niezamierzone.

ISBN 978-83-277-1218-9

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl
www.wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA
tel. 12 62 93 260, 12 62 93 446-447
faks 12 62 93 261
e.wydawnictwowam.pl
www.wydawnictwowam.pl

druk: Drukarnia Dzielowa Katarzyna • Wrocław

~ I ~

Ruislip, piątek, 20 grudnia 1991

Pelagia Redlich zatrzasnęła z hukiem wieko nowej walizki – małego dzieła sztuki z czerwonej lakierowanej skóry – jednej z kompletu, który kupiła ostatnio u Harrodsa. Spojrzała na stojące na komodzie zdjęcie i pokiwała głową.

– Wyjeżdżam – poinformowała kategorycznym tonem. – Nie myśl sobie, że będę tu siedzieć w każde święta i gadać do twojej fotografii!

Mąż, jak zwykle, patrzył na nią z wielką miłością i wyrozumiałością. I, jak zwykle, nie miała zielonego pojęcia, co sobie tak naprawdę myśli.

Usiadła na łóżku i znów pokiwała głową. Dziś mijało dokładnie czterdzieści siedem lat od chwili, gdy się w nim zakochała. Pamiętała to wszechogarniające ją wówczas poczucie, że straciła wszystko, na czym jej kiedykolwiek zależało, i nie ma już po co żyć. Za kilka godzin mieli się rozstać na zawsze. Kto by pomyślał, że potem przez tyle lat będą ze sobą tak szczęśliwi!

Starsza pani westchnęła, jej oczy przysłoniła mgiełka. Myślała o tym, jak niespodziewanie można znaleźć miłość tam, gdzie się jej zupełnie nie szuka! I jak szybko człowiek podnosi się z dna rozpacz, jeśli tylko się jej nie podda...

Wzdrygnęła się. Echa dawno minionych zdarzeń wyrwały ją z romantycznego nastroju. Od końca wojny – tak jak się

umówili – starała się nie sięgać pamięcią do tego straszliwego czasu. Było to trudne, ale się udawało, szczególnie wtedy gdy on przy niej był. Teraz jednak wspomnienia, raz spuszczone z uwięzi, porwały ją w przeszłość. Zadrżała, gdy przypomniała sobie noc, która zmieniła na zawsze życie ich obojga...

Niebo nad Polską,
czwartek, 17 sierpnia 1944, godzina 2.00

Milczeli, ogłuszeni grzmieniem czterech potężnych silników, niosących ich przez czarną, bezksiężycową noc. Po wielu godzinach lotu, bardzo już zmęczeni, nie mogli sobie pozwolić nawet na chwilę nieuwagi. Kończyła się właśnie trzecia kwadra, ale to nie oznaczało, że są bezpieczni. Od dawna wiedzieli, że niemieccy piloci nie potrzebują światła księżyca – technika zastępowała im oczy.

Przed chwilą pozbyli się ładunku – zrzucili przeznaczone dla powstańców zasobniki nad umówionym miejscem w lasach piotrkowskich. Udało się to zrobić w dwóch nalotach i Liberator wzniósł się zaraz, pozostawiając za sobą chmurę białych jak pieczarki, malutkich spadochronów. Powoli opadały ku ziemi, chroniąc przed roztrzaskaniem się ładunek broni, amunicji, sprzętu radiowego, opatrunków i ubrań. Teraz lotników czekała ostatnia część zadania – powrót.

Dzięki zainstalowanej w samolocie aparaturze mieli przewagę – widzieli nieprzyjaciela, zanim jeszcze ten odkrył ich obecność. Dlatego siedzący w kabinie nawigatora mężczyzna nie spuszczał oka z mżących fosforyzującą zielenią

przyrządów, których anteny zamontowano przy skrzydłach, na nosie i na ogonie bombowca. Tylko on zdawał sobie sprawę, jak wiele zależy od ich prawidłowej pracy – i od jego szybkich, precyzyjnych reakcji. Lecieli nad terytorium wroga, w każdej chwili groziła im dekonspiracja.



Uśpiony Radom zostawili za sobą. Sierżant Alois Nowok oderwał wzrok od szarobłękitnej, pokrytej ciemniejszymi plamami płetwy steru myśliwca i spojrzał w czerń nocy. Tuż przed jego oczami drżały czułki anten radarowych, sterczące z obłego łba maszyny.

„Niepokojąco piękny... uwodzicielski... drapieżny” – takimi słowami określał Junkersa Onkel Feri, najstarszy pilot pułku. „Stojący u szczytu ewolucji łowca... gigantyczny nocny owad... krwiożerczy motyl...” – mawiał zwykle przed wyruszeniem na akcję, głaszcząc pieszczotliwie gładki metal.

Latał jeszcze w wielkiej wojnie i kochał to, co robił. W głębi duszy był poetą. Miał trochę węgierskiej krwi i dziwnie dobre, ciepłe, myślące oczy. Każda wyprawa z nim miała w sobie posmak romantycznej przygody.

Tej nocy obok Aloisa nie siedział jednak „Wujaszek”, lecz energiczny, młody Oberfeldwebel¹ Helmut Dahms. As na dorobku. Nie obchodziło go oniryczne piękno nocnego myśliwca. Leciął po to, by strzelać – i zabijać.

¹ Starszy sierżant (niem.).

~

Wielka antena radaru Würzburg Riese w Grabiui obracała się powoli. Operator nie miał wątpliwości – na niebie pojawiły się co najmniej trzy cele. Teraz musiał tylko przesłać koordynaty do załóg krążących w swoich maszynach wokół radiolatarni w Radomiu...

Chwilę później Ju-88 Dahmsa pochylił się ostro na skrzydło i wznosząc się, pomknął na południowy wschód.

~

Na świetlistej smudze z brzegu ekranu ukazało się nieznaczne wypiętrzenie. Małe zrazu, niewyraźne. Mężczyzna w kabine nawigatora, który dzięki swoim posiwiiałym skroniom od razu zyskał sobie wśród załogi bombowca pseudonim „Dziadek”, wpatrywał się weń z napięciem. Kształt rósł i zbliżał się.

– Hunowie nas widzą! – poinformował dowódcę. – Jeden jest na piątej! Namierza nas!

– Postaram się go zgubić – głos kapitana Wrighta w słuchawkach interkomu był spokojny i opanowany. Jakby chodziło o proste ćwiczenie, a nie o życie siedmiu ludzi, zawieszonych w długoskrzydłej maszynie dwanaście tysięcy metrów ponad uśpioną, okupowaną Polską.

Samolot drgnął. Silniki zagrały wyżej, gdy bombowiec wykonał gwałtowny skręt o czterdzieści pięć stopni na prawo, nurkując jednocześnie z pełną prędkością. Rzuciło nimi, po pokładzie zaczęły się toczyć łuski amunicji i spadochrony.

Strzelcy boczni, przypięci pasami przy swoich stanowiskach, z trudem trzymali się na nogach, nadaremnie wyężdżając wzrok. Łowca wciąż jeszcze krył się w ciemności, poza zasięgiem ich browningów.

Długą chwilę nie wiedzieli, czy dzięki korkociągowi udało się zgubić wrogi samolot. William D. Wright gwałtownie podnosił teraz maszynę, przechylając ją jednocześnie na drugie skrzydło. Z każdym skrętem Liberator trzeszczał, a silniki zmieniały dźwięk.

„Dziadek” śledził odbicia fal. Wydawało się, że manewr zadziałał. Ale nie mogli dłużej ryzykować. Nadszedł czas, by włączyć aparaturę zagłuszającą.

– Teraz ja wam zagram!



Operatorzy radaru w Grabiu czegoś takiego jeszcze nie widzieli. Jeden z celów, dotąd wyraźny, nagle zaczął się rozpylić. Dwie załogi Nachtjagdgeschwader 100², precyzyjnie doprowadzone w pobliże przemykających w mroku alianckich bombowców, już rozpoczynały rzeź między Brzeskiem a Gorlicami. Tylko Dahms czekał – zawieszony nad Miechowem – klnąc po cichu, lecz bardzo soczyście. Jego cel zniknął.

Alois Nowok pochylił się nad ekranem radaru pokładowego. Czyżby mu się zdawało? Krąg, cienki jak obrączka ze zwinętego włosa, zabłysnął zielonkawym światłem – i zaraz

² Doborowy pułk nocnych myśliwców Luftwaffe.

zgaśł. Ale instynkt podpowiadał sierżantowi, że trzeba iść tym tropem.

– Jest! – mruknął, czując przebiegający całe ciało dreszcz podniecenia. Zaczynały się łowy.

Dahmsowi nie trzeba było dwa razy powtarzać...

~

„Dziadek” kręcił ebonitowymi gałkami, początkowo spokojnie, potem coraz bardziej nerwowo, zmieniając częstotliwości.

– Mamy go na ogonie, pilnować szóstej!

Strumyczek zimnego potu spływał mu po kręgosłupie. To musiał być jeden z tych potworów obsługiwanych nie tylko przez pilota, ale i radiooperatora – szybki, zwrotny, z dwoma silnikami oraz zapasem paliwa umożliwiającym długotrwałe i dalekie rajdy w powietrzu.

Silniki grały pełną mocą. Pokład bombowca trząśł się przy kolejnym nurkowaniu, drżały też z wysiłku ręce dowódcy trzymającego wolant. Choć Liberator kluczył, stosując najbardziej skuteczne manewry, a nadajnik wysyłał nieprzerwanie sygnały zakłócające, nie potrafili pozbyć się pościgu.

~

Skręcali łagodnie na południe i Alois uśmiechnął się, gdy wreszcie krąg zabłysnął mocno i wyraźnie, potwierdzając, że intuicja go nie myliła. Teraz już go nie zgubią! Rzucił krótką komendę do Dahmsa, ten lekko skorygował kurs. W ciemności przed sobą ujrzeli cztery rozżarzone punkty – to świeciły

się wyłoty rur wydechowych silników bombowca... Obaj poczuli wstrząs, gdy myśliwiec wpłynął w strumień zaśmigłowy wzburzonego powietrza za ogonem Liberatora.

Zadanie radiooperatora było wykonane, odtąd już wszystko miało się dziać automatycznie. Alois jednak wstrzymał oddech. Choć było to zupełnie niemożliwe, przez głowę przebiegła mu nagle, bardzo niepokojąca myśl, że tamta załoga o nich wie...

~

Teraz Liberator wznosił się ostro.

– Oczy otwarte! Górny! Boczni! Ogon! – mobilizował strzelców Wright.

Przerwał mu łoskot czterech browningów – z górnej i tylnej wieży.

~

– *Scheiße!*³

Dahms przyduśił Junkersa, skręcając w lewo. Pociski przeszły dość daleko od oszklonej kabiny, ale wrażenie było porażające. Jeszcze się nie zdarzyło, by któryś z tych mułków Churchilla, wożących broń dla bandytów w Warszawie, próbował się bronić! Nie mieli przecież szans, by zauważyć nocnego łowcę wślizgującego się pod ich brzuch...

³ Cholera! (niem.).

Nowok wydał z siebie urywany, spazmatyczny krzyk. Dowódca myśliwca nie zwrócił na niego uwagi, odruchowo przygotowywał się już do drugiego ataku. Nagle niebo w dole rozjarzyło się żółcią i błękitem. Liberator zadrzał jak śmiertelnie trafione zwierzę. W jednej chwili Dahms zrozumiał, że mają towarzystwo – i że nie będą musieli po tamtych poprawiać.

Przezuwając przekleństwa, odbili i zniknęli w bezkresie nocy.



Onkel Feri swymi dobrymi, brązowymi oczami spoglądał na agonię wielkiego bombowca. Raz już go omal nie zgubił. Ale poczekał cierpliwie – i opłaciło się, niebiosa zesłały mu Dahmsa. Wystarczyło cicho podążyć za nim w ciemnościach nocy.

Teraz „Wujaszek” czuł smak zwycięstwa, a to było przecież najważniejsze! Mało go obchodziło, że będzie musiał oddać to zestrzelenie, by nie tłumaczyć, dlaczego na chwilę kazał towarzyszowi wyłączyć swój pokładowy radar...

Nie każdy miał takie jak on kontakty w Abwehrstelle⁴ i znał najświeższe doniesienia wywiadu o rozwijanej przez Anglików nowej, supertajnej technologii.

Nie każdy też miał tyle wyobraźni co on...



⁴ Komórka wywiadu niemieckiego (niem.).

– *Abandon!*⁵ – rozkazujący głos Wrighta w słuchawkach interkomu był dziwnie daleki, zduszony.

„Dziadek” próbował się podnieść z podziurawionej podłogi, lecz nie mógł. W głowie miał piekielny jazgot, prawe ramię rozdzierał mu paraliżujący ból, a gardło kaleczyły drobinki szkła i metalu. W jednej chwili przypomniał sobie gwałtowne rozbłyski światła i ogłuszający huk. Dostali! Rozpaczliwym wysiłkiem strząsnął przyniatające mu nogi szczątki skrzynki, podniósł się na kolana i spojrzał na swoją aparaturę – była roztrzaskana, tak jak większość przyrządów w kabinie. Ocalał jednak detonator...

W tej chwili do wnętrza Liberatora wtargnęła fala zimnego powietrza, przesyconego dymem z płonącego silnika. Pilot otworzył luk bombowy, który stanowił dla nich drogę ucieczki.

Samolot leciał nadal, ale gwałtownie tracił wysokość. „Dziadkowi” żołądek podszedł do gardła. Lewą ręką sięgnął pod fotel i długo mozolił się, przypinając spadochron do uprzęży. Wreszcie, z detonatorem w dłoni, dowlóknął się do kabiny pilota. Spojrzał na dowódcę dokładnie w chwili, gdy uderzyły w nich snopy światła obrony przeciwlotniczej z Krakowa. Cały kombinezon kapitana był przesiąknięty krwią. Przekrzywiony w swoim fotelu, z jakąś rozpacziwą siłą trzymając stery, Wright ciągle jeszcze kontrolował maszynę.

– Co z tobą?! – „Dziadek” zrozumiał, że jego rana jest niczym w porównaniu z obrażeniami, jakich doznał dowódca.

Pilot nie odpowiedział, skupiony całkowicie na swoim zadaniu. Chciał im dać szansę na opuszczenie bombowca.

⁵ Komenda nakazująca opuszczenie samolotu (ang.).

Z płonącymi silnikami, złapani w pułapkę przez szperacze⁶, które namierzyły ich i już nie puszczały, stanowili teraz idealny cel dla artylerii.

– Muszę zniszczyć urządzenie – wychrypiał „Dziadek”.

Wright na ułamek sekundy podniósł na niego umęczony wzrok. Widać było, że nie da rady nawet wstać o własnych siłach.

– Więc zrób to i skacz! – rozkazał.

– A co z innymi?! Liversidge?!

Odpowiedziały mu tylko głucho trzaski interkomu.

Procedury były bezwzględne – aparatura nie mogła się dostać w ręce wroga. „Dziadek” miał jednak w głowie tylko jedną myśl – co się stanie z tymi, którzy nie zdążą wyskoczyć?! Ogarnął go dziwny bezwład. Skądś – z jakiegoś innego wymiaru – popłynęły do niego dźwięki fortepianu. Mocne akordy *Poloneza As-dur* Chopina, granego zaledwie kilka dni temu osiemset mil stąd, w Foggi we Włoszech.

„Tak musi być” – usłyszał znajomy głos.

– Na miłość boską! – Okrzyk dowódcy przywrócił mu przytomność. – Dłużej go już nie utrzymam!

– Liversidge?! – Znowu żadnej odpowiedzi od nawigatora. – Kapitanie?!

Wright milczał. Jego bezwładne ciało opadło na stery.

Jakaś pierwotna żądza przetrwania, silniejsza od woli i wszystkich wcześniejszych rozterek, kazała mu teraz za wszelką cenę ratować własne życie. „Dziadek” wcisnął guzik detonatora i rzucił się w stronę luku. Już widział ziejącą pod

⁶ Reflektory poszukujące na niebie samolotów wroga.

nim czeluść, gdy nagły wstrząs cisnął go w tył. Huk rozdarł powietrze i poszycie kadłuba – koło skrzydeł, z tyłu i z przodu samolotu, eksplodowały kule ognia.

Liberator spadał, a oni spadali wraz z nim. Ostatnim wysiłkiem, w płonącym piekle, „Dziadek” przetoczył się przez krawędź nad przepaścią i od razu pociągnął za linkę otwierającą spadochron. Ale nie miał nadziei na to, że czasza zdąży się otworzyć.

Do jego świadomości dotarł jeszcze huk kolejnej eksplozji – gdzieś w oddali samolot, przypominający teraz kometę, rozpadał się na części. Ostatnie dźwięki *Poloneza Heroicznego* zabrzmiały mu w uszach, nim ogarnął go przerażający chłód, a potem cisza – i ciemność.

Kraków, ul. Halicka 18,
czwartek, 17 sierpnia 1944, godzina 2.27

Wydawało się, że dopiero co zasnęła. A jednak nie, musiała przespać kilka godzin, bo fosforyzujące wskazówki budzika wskazywały już dwadzieścia siedem po drugiej. Pelagia nie wiedziała, co ją obudziło – spoconą, z mocno bijącym sercem: zły sen, jakich mnóstwo ostatnio miewała, hałas za oknem czy może jakieś straszne przeczucie. Bała się. Lęk towarzyszył jej ciągle, więc nauczyła się już go oswajać, regulując oddech i rozluźniając mięśnie ściśniętego aż do bólu gardła. Długą chwilę leżała w kompletnych ciemnościach, bo przez osłonięte czarnym papierem okno nie wpadał nawet poblask penetrujących niebo potężnych reflektorów obrony przeciwlotniczej.

Przepisów o zaciemnieniu, szczególnie w ostatnich miesiącach, Niemcy przestrzegali obsesyjnie. Bali się nalotów alianckich i sowieckich. Wojna w powietrzu była faktem, mieszkańcy Krakowa już przywykli do ciągłego huku artylerii. Zdarzało się, że na miasto spadały bomby. Ale jeszcze nigdy dotąd nie spadł żaden samolot. Aż do dziś.

Leżała, oddychając głośno, a w uszach miała szum własnej krwi, tłoczonej do arterii przez spłoszone czymś, galopujące serce. Dopiero gdy się trochę uspokoiła, dotarł do jej świadomości hałas, który był inny niż wszystko, z czym się dotychczas spotkała. W odgłos strzałów włączył się nagle warkot jakichś potężnych silników... Nowy dźwięk narastał, przechodził w wizg, od którego aż drżały szyby oklejone paskami papieru. Pelagia zerwała się z łóżka i podbiegła do okna. Przez szparę w zaciemnieniu ujrzała fragment nieba od wschodniej strony. W tej właśnie minucie przetaczał się po nim ognisty kształt – mogła się tylko domyślać, że kiedyś był to samolot. Wszystko trwało zaledwie moment – rozległ się potężny huk i czerń nocy rozświetliła kula ognia, która rozpadła się natychmiast na wiele płonących fragmentów. Spadały one do Wisły i na jej oba brzegi. Wstrząs był tak silny, że – gdyby nie widziała na własne oczy, co się stało – byłaby pewna, że samolot upadł na sąsiedni dom.

Przelotnie pomyślała o tych kolejnych matkach, żonach i dziewczynach, których życie od tej chwili przypominać będzie jej własny koszmar. Gdyby jeszcze była w stanie to zrobić, zapewne wyszeptałaby teraz modlitwę za zmarłych. Ale już od wielu miesięcy nie potrafiła rozmawiać z Bogiem. Nie umiała pojąć Jego obojętności.

Z ciężkim sercem zasłoniła okno i wróciła do łóżka. Była pewna, że dziś już nie zaśnie. A tak bardzo tego snu potrzebowała! Okupacyjny dzień, wypełniony gorączkową krzątaliną, zawsze miał za mało godzin. Ona zaś krzątała się więcej niż inni. Robiła co w jej mocy, dochodząc do granic swych sił i możliwości – byle tylko zapełnić pustkę, która od wielu miesięcy odbierała jej wszelki spokój. Sama myśl o tej, której zabrakło, doprowadzała Pelagię do obłądu. Wolała śmierć niż takie życie, dlatego też specjalnie nie zabiegała o to, by przeżyć. Podejmowała się wszystkiego, czego od niej żądali. Bała się tylko, by w razie wpadki nie wydać innych. To ten właśnie koszmar najczęściej snił się jej po nocach. Znała przecież tylu ludzi! Czy byłaby w stanie wytrzymać tortury? Dlatego zawsze nosiła przy sobie kapsułkę cyjanku, ukrytą przemyślnie w rąbku kołnierzyka. W każdej sytuacji, nawet ze skrępowanymi rękoma, byłaby w stanie sięgnąć zębami do obrębianego szydełkiem materiału, który co rano dopinała do różnych części garderoby. Ten skrawek białej koronki na ramionach dodawał jej pewności siebie. Dziewczyna wyglądała dzięki niemu jeszcze bardziej świeżo, skromnie i niewinnie. Było to mylne wrażenie. Co jak co, ale niewinna to Pelagia nigdy nie była!

Różne sceny z życia – a przynajmniej z ostatnich jego lat – przebiegały jej przed oczami, podczas gdy godziny dzielące ją od świtu wlekły się niemiłosiernie. Niektóre były tak bolesne, że wtulała twarz w poduszkę, by powstrzymać krzyk. Gdy dzwoneczek przy oknie zadzwieczał ostrzegawczo, Pelagia ciągle jeszcze przewracała się w pościeli.

Od razu czujnie uniosła głowę. Mieli ze stróżem opracowany system powiadamiania – na każdą okazję był inny

sygnał. Gdy trzeba było kogoś ukryć na jakiś czas lub zrobić mu zdjęcie do lewych papierów, dzwoneczek – zamontowany na cienkim sznurku wzdłuż chropowatego muru kamienicy – odzywał się trzy razy w równych odstępach, jak dźwięk gongu w kościele. Nerwowo szarpany, ostrzegał ją przed niebezpieczeństwem. Teraz była spokojna – wiedziała, że idą swoi.

Długo trwało, nim – zachowując przykładowie ciszę – goście wspięli się na najwyższe piętro. W bladym świetle poranka, sączącym się już przez okna w korytarzu, rozpoznała jednego z nich, Staszka Luberdę, maszynistę „Kocmyrzówki” i przedwojennego jeszcze działacza robotniczego. Teraz, w ramach Organizacji, dostarczał jej czasem grypsy do skopionowania. Drugiego nie знаła. Był to wysoki piegowaty blondyn o nieco ptasich rysach. Również nosił kolejarzki mundur. Pomiędzy tymi dwoma słał się trzeci mężczyzna. Jego twarz, pozbawiona brwi i rzęs, stanowiła jedną wielką ranę. Miał na sobie uwalane pyłem węglowym i osmalone odzienie palacza. Ledwie weszli, przewrócił oczami i zemdłał.

Kraków, wtorek, 24 grudnia 1991

Janka Rosa zapłaciła taksówkarzowi stawkę znacznie wyższą niż zazwyczaj i wygrzebała się z dużego fiata, co przy jej tuszy oraz ładunku, jakim była obciążona, nie było łatwym zadaniem. Przeszła kilka kroków, po czym zatrzymała się przed ogrodzeniem otaczającym jedną z willowych posesji przy alei Focha. Z ulgą odstawiła na chodnik cięższą ze swoich dwóch

siał i energicznie wcisnęła guzik dzwonka. Raz, drugi, trzeci. Choć oczekiwanie nie trwało długo, zdążyła się zniecierpliwzić. Wreszcie znajomy brzęczyk dał znać, że zamek został otwarty, chwyciła więc znowu torbę i pomagając sobie nogą, pchnęła metalową furtkę prowadzącą do ogrodu Petrycych. W uchylonych drzwiach domu czekał już na nią Maksymilian. Widząc, że jest obładowana, zbiegł ze schodów i odebrał jej siatki.

– A cóż to? – stęknął, uginając się teatralnie.

Janka spojrzała nań z politowaniem. Zawsze była wysoka i dobrze zbudowana, z wiekiem zaś zyskała iście zapaśniczą sylwetkę. Petrycy zaś, choć wysportowany, do osiłków nie należał.

– Prezenty – odpowiedziała zwięźle. – I karpie. Kupiłam osiem, dla wszystkich, tak jak chciała Marysia.

Nie zdradziła, ile ją kosztowało zdobycie w ostatniej chwili ryb, bez których nie sposób wyobrazić sobie tradycyjnej polskiej wigilii. Ciągle jeszcze irytowała się na samo wspomnienie! Pół godziny kolejkowania pod osiedlowym Samem przy Komandosów i sto dwadzieścia tysięcy złotych za kilka kilogramów karpia były niczym w porównaniu z walką, jaką musiała stoczyć ze sprzedawcą. Za nic nie chciał jej tych ryb uśmiercić, wskazując bezradnym gestem ciągle wijącą się kolejkę i wyznając łzawo, że pewnie sam nie zdąży do domu przed wieczorem. Dla Janki zaś paradowanie przez pół miasta z trzepocącymi się karpiami w siatce było nie do pomyślenia, tak samo jak własnoręczne pozbawienie ich życia. Wreszcie któryś z sąsiadów, asystujących przy tej scenie, litościwie i dość wprawnie dokonał

egzekucji na krawężniku na zapleczu stoiska. Zabrał sobie – jako gratyfikację – osiem łbów na galaretę i odszedł wyraźnie zadowolony, wymachując siatką z własnym karpem, ciągle jeszcze żywym. Janka zaś poświęciła następne pół godziny na upolowanie taksówki, by wreszcie zgodzić się na świąteczną – czytaj: bandycką – taryfę.

– Pomóc ci? – zaproponowała teraz, widząc, jak Maksymilian męczy się z jej torbami.

Wiedziała doskonale, dlaczego są takie ciężkie. Prócz ryb niosła w nich także trzy tomy *Encyklopedii muzycznej PWM*, zakupione na giełdzie pod Halą Targową w prezencie bożonarodzeniowym dla najstarszego syna Petrycych, który studiował w klasie kontrabasu na akademii w Katowicach.

– Jasiek już przyjechał? – zapytała bezmyślnie, na zasadzie prostego skojarzenia, i od razu tego pożałowała. Petrycy spochmurniał i zacisnął usta.

– Jeszcze go nie ma – mruknął niewyraźnie, odbierając jej płaszcz w przedpokoju i zapraszającym gestem wskazując schody prowadzące do mieszkania na górze. – Panicz jak zwykle zamierza się zjawić w ostatniej chwili, na gotowe...

Janka kiwnęła tylko głową i nie skomentowała tej informacji. Nie chciała drażnić męża swojej najlepszej przyjaciółki, a w każdym razie nie tego wieczoru. Słyszała od Marysi o scenie, jaka rozegrała się między ojcem i synem w dniu ich ostatniego spotkania. Wiedziała, że przyjazd Jaśka na święta do domu wcale nie jest pewny.

Po raz kolejny uderzyło ją, jak bardzo zmienił się Maksymilian. Schudł zauważalnie, rysy mu się wyostrzyły, a na czole i wokół oczu pojawiły się zmarszczki. Spojrzenie miał

zagubione, ale nade wszystko – przestał się uśmiechać. Gęste jeszcze do niedawna blond włosy mocno się przeredziły, a także posiwiały, tracąc blask. Janka podejrzewała, że doktor w chwilach samotności nieświadomie wydziera je sobie garściami.

„Głowa do góry, stary! Na jednej małej porażce życie się jeszcze nie kończy!” – chciałyby mu powiedzieć, prosto i bezpośrednio, jak to ona. Nie odzywała się jednak – jak nie ona! – Maksymilian bowiem od kilku miesięcy miał taki wzrok, że... brakowało jej odwagi. Wyczuwała – rzecz u Janki niezmiernie rzadka – że Petrycy kryje jakieś żale czy pretensje pod jej adresem. Nie miała jednak zielonego pojęcia, o co mógłby je mieć i dlaczego. Może zresztą żywił je do całego świata?

„Kto go tam wie!” – wzruszała ramionami i starała się nie przejmować humorami doktora.

Mimo że na zewnątrz dopiero zaczynało szarzeć, cały dom był rześcicie oświetlony. Otwarte szeroko, przeszklone drzwi do mieszkania na parterze ukazywały oczom Janki świątecznie wystrojony „salon babci Isi”. Rodzina nadal nazywała w ten sposób najbardziej reprezentacyjne pomieszczenie w przedwojennej willi, pomimo że starsza pani już nie żyła, a do jej apartamentu sprowadziła się na powrót wnuczka Ania, drugie w kolejności dziecko Marysi i Maksymiliana.

Teraz Ania krzątała się wokół ogromnego stołu, przykrytego już równie wielkim, noszącym ślady wielokrotnego składania obrusem.

– Idź już, idź, nie czekaj na mnie! – poleciła Janka, odprawiając Maksymiliana iście królewskim gestem. – Zaraz cię dogonię!

Pochyliła się i z ulgą ściągnęła z nóg kozaki. Na stopy założyła wygodne, ręcznie wyszywane, aksamitne pantofle o wyraźnie wschodniej proveniencji, które – dla ułatwienia sobie życia przy częstych wizytach u Petrycych – trzymała u nich w szafce w przedpokoju. Wcałe jednak nie zamierzała gonić gospodarza i pomagać mu w kuchni! Wołała odetchnąć wreszcie świąteczną atmosferą, obejrzeć choinkę, a przy okazji pogadać sobie z jego córką.

Weszła do salonu w chwili, gdy młoda osoba kończyła właśnie nakrywać. Robiła to, trzeba przyznać, w dość niekonwencjonalny sposób. Przy dźwiękach kolęd płynących z włączonego bardzo głośno radia, ze skupioną miną rzucała na obrus posrebrzane sztuce z odświętnego kompletu tak, jakby za cel sobie postawiła trafić w jeden z zabytkowych już, porcelanowych talerzy.

„A tę co znów dziś ugryzło?” – pomyślała Janka, z niepokojem obserwując widelce o przesadnie długich i spiczasto zakończonych zębach, których dziewczyna trzymała całą garść. Wyciągane na specjalne okazje rodowe sztuce Petrycych były narzędziami wysoce niebezpiecznymi w użyciu, co Janka stwierdziła już niejednokrotnie. Nawet krawędziami łyżek można było sobie pokaleczyć wargi.

– Cześć, ciociu – powiedziała Ania, nie podnosząc wzroku i nie przerywając swej czynności.

– Cześć, skarbie – odrzekła Janka. – Jak pęcherz?

Ania zważyła w dłoni jeden z widelców, trzymając go jak gotową do rzutu strzałkę. Spojrzała przy tym na ciotkę tak, jakby rozważała wykorzystanie jej w roli ruchomego celu.

– Dziękuję, lepiej – wycedziła.

Janka, która nie miała żadnych złych intencji – wiedziała, że przez ostatni miesiąc Anię męczyło przewlekłe zapalenie pęcherza – zachowała się znowu, jak na siebie, bardzo nietypowo. Powstrzymała się mianowicie od komentarza, zrezygnowała z dalszej pogawędki, która groziła ewentualnym starciem – i po prostu wycofała się z pola rażenia. Choinka – zdążyła zauważyć – nie odbiegała wielkością i wystrojem od drzewek, jakie gościły w domu Petrycyh w poprzednich latach. I jak zawsze pachniała oszałamiająco.

Z piętra dolatywały przemieszane wonie smażonych grzybów i barszczu czerwonego oraz dochodziły dźwięki wielotorowych przygotowań do świąt. Na tle wycia odkurzacza niosły się odgłosy kłótni między najmłodszymi członkami rodziny, czternastoletnią Gabrysią i o rok młodszym Frankiem, o to, kto ma zaraz zmywać. Janka, bardzo spragniona ciszy i spokoju po całodziennym młynie w pracy i na zakupach, westchnęła ciężko. Już chciała ruszyć do kuchni na górze, gdzie spodziewała się zastać swoją przyjaciółkę, gdy po schodach z radosnym szczełaniem zbiegł sporych rozmiańców mieszaniec Flip, wariacko machając ogonem i rzucając się jej w objęcia. Żywił do Janki wielki sentyment, miała bowiem zwyczaj podczas swoich wizyt dokarmiać go pod stołem wybranymi kęskami. Na powitanie z całą wylewnością liznęła ją więc ozorem po twarzy, rujnując jej makijaż.

– Faj! A pójdziesz ty! – zawołała ze szczerego serca i odepchnęła od siebie czworonoga.

Janka bardzo kochała zwierzęta – była nawet od niedawna członkinią Partii Zielonych! – zasadniczo jednak nie lubiła wchodzić z nimi w bliższe relacje. Teraz nerwy jej puściły.

Przeżyła długi i męczący dzień, jak to zwykle bywa w pracy pod koniec roku. Tknięta w ostatniej chwili wyrzutami sumienia, zafundowała sobie potem szybkie sprzątanie we własnej kawalerce, która – choć niewielka – była dość mocno zagracona. I do tego te sprawunki! Pełne wyrzutu spojrzenie ośmiu karp, którym musiała towarzyszyć w ostatnich chwilach życia, prześladowało ją jeszcze do teraz. Myślała, że w zaprzyjaźnionym domu Petrycych odetchnie wreszcie i zregeneruje siły. Tymczasem atmosfera, która tu dziś panowała, odbiegała tak dalece od tego, na co Janka liczyła, że zaczęła nawet rozważać opcję powrotu do domu i samotnego spędzenia Wigilii. Czuła, że za chwilę wybuchnie! Tam przynajmniej nie było nikogo, kto by mógł ją jeszcze bardziej zirytować...

Gdy tylko o tym pomyślała, dobiegł ją z góry przenikliwy jazgot starego młynka do mielenia kawy. Zamknęła oczy i na chwilę zastygła w bezruchu.

Był to odgłos tak dobrze jej znany, swojski i domowy, że z Janki momentalnie opadły stres i zdenerwowanie. Odetchnęła głęboko, otworzyła powieki i – ocierając twarz – wstała na schody. Po drodze pogłaskała nawet łaszącego się u jej kolan psa. Wiedziała, że Marysia w kuchni na piętrze już robi dla niej kawę. Taką jak zawsze – czarną, mocną i bez cukru.



Każdy nosi w sobie jakieś лихо, z którego istnienia często nie zdaje sobie sprawy. Istota owa, ze swej natury złośliwa i źle człowiekowi życząca, ma w zwyczaju podpowiadać

mu zachowania szkodliwe, a niekiedy nawet zgubne. Wykorzystuje w tym celu momenty słabości, stresu, załamania, a także wszelkie trudne sytuacje życiowe – ogólnie rzecz ujmując – chwile próby. W swojej kusicielskiej działalności posługuje się też bardzo racjonalnymi argumentami. Niekiedy używa nawet osób z zewnątrz, aby całej tej podstępnej akcji przyklasnęły i ją poparły. Wszystko wokół może więc sprzyjać temu, by człowiek zagłuszył w sobie ten najcichszy głos, nienarzucający się, ale zawsze obecny, który mu podpowiada, co dla niego dobre. Zagłuszył, zlekceważył i zrobił coś, czego już za chwilę przyjdzie mu żałować.

Otóż to właśnie tajemnicze licho podkusiło w tym roku Marię Petrycy, by zrezygnowała z zakupu karpia na wigilię. Zapach mułu, którym zawsze emanował ten gatunek ryb, wizja długotrwałego panierowania i smażenia pokrojonego w dzwonek mięsa, potem zaś wydlubywania z niego tysięcy ości, a także nastrój zniechęcenia i buntu, który ją ostatnio ogarnął, sprawiły, że postanowiła odstąpić od tradycji i przyrządzić na wigilijną kolację coś innego. Choćby nawet gęś.

Po tym pierwszym odstępstwie dużo łatwiej przyszło jej popełnić następne. Odpuściła sobie mianowicie także gruntowne przedświąteczne sprzątanie. Pani Monika, która regularnie pomagała jej w porządkach, spadła ostatnio z drabiny podczas wieszania firanek w którymś ze „swoich” domów i doznała bolesnego urazu ręki. Z początku Marysia chciała zapędzić do roboty wszystkich członków rodziny, jednak – wobec ich zdecydowanego i gwałtownego protestu – zrezygnowała. Czuła się słaba psychicznie i nie miała sił, by prowadzić wojnę na wszystkich frontach. Przynajmniej

na zapleczu musiała mieć spokój oraz wsparcie, choćby za cenę brudnych okien i niewypastowanych podłóg.

Od początku grudnia Maria Petrycy nie chodziła do pracy, więcej, toczyła z kierownictwem firmy spór. Biuro zajmujące się projektowaniem obiektów przemysłowych, w którym od lat była zatrudniona, a po roku osiemdziesiątym dziewiątym sprawowała funkcję szefowej zespołu radców prawnych, było – jak wiele państwowych przedsiębiorstw – kolosem na glinianych nogach. Wymagało zdecydowanie działań naprawczych, co do tego wszyscy byli zgodni. Rzecz w tym, że każdy inaczej je widział. Dyrektor wraz ze swoim zastępcą zbudowali w ciągu roku silne stronnictwo, domagające się prywatyzacji z udziałem kapitału zagranicznego. Na zebraniu całej załogi, które odbyło się pod koniec listopada, poinformowali, że znalazła się francuska spółka zainteresowana wykupieniem kontrolnego pakietu akcji. Dla pracowników od wielu miesięcy karmionych informacjami o stratach, jakie przynosi działalność firmy i potencjalnych zwolnieniach, wiadomość ta była jak gwiazdka z nieba. Maria Petrycy miała natomiast zupełnie inny pogląd na te sprawy. Już od wielu miesięcy zagryzała wargi, starając się – mimo osobistej niechęci do dyrekcji – rzetelnie pełnić powierzone jej obowiązki. Mając jednak dostęp do wszystkich dokumentów, dużo lepiej niż inni dostrzegała, że sprawy toczą się w sposób nieuczciwy i niesprawiedliwy. Była przekonana, że księgi przedsiębiorstwa są od dłuższego czasu fałszowane, by wykazać straty. Wiedziała też, że wycena majątku – całkiem pokaźnego budynku w świetnej lokalizacji w centrum Krowodrzy – została celowo zaniżona, by umożliwić inwestorowi strategicznemu

jak najtańszy zakup. Przeciw temu ostatniemu posunięciu zresztą nic nie miała, z tym jednak zastrzeżeniem, że biuro przejmą na zasadzie wykupu lub odpłatnego użytkowania nie Francuzi, ale spółka pracownicza, do uczestnictwa w której będą mieli prawo wszyscy zatrudnieni.

Swoje zdanie wyraziła jasno i otwarcie dopiero na zebraniu, którego celem miało być zaopiniowanie przez załogę wniosku do Ministerstwa Przekształceń Własnościowych o rozpoczęcie procesu prywatyzacji z udziałem zagranicznego kapitału. Na skutek jej wystąpienia – które wzbudziło poważny ferment i dało wielu ludziom do myślenia – żądanej przez dyrekcję opinii nie uchwalono. Kolejne zebranie zapowiedziano na początek marca. Miało się ono jednak odbyć już bez udziału Marii Petrycy, której trzy dni po całym zajęciu zaproponowano polubowne rozwiązanie stosunku pracy. Gdy się na to nie zgodziła, z końcem listopada otrzymała wypowiedzenie ze zwolnieniem z obowiązku świadczenia pracy. Jako powód podano „nienależyte wykonywanie obowiązków radcy prawnego”. Sekretarka, która wręczyła jej dokument, ze spuszczoneym wzrokiem przekazała jednocześnie prośbę dyrektora, by Marysia do końca dnia przeniosła swoje rzeczy i zwolniła miejsce w gabinecie.

Taki rozwój wydarzeń chyba w każdym wzbudziłby sprzeciw. Marysia, wyplakawszy się najpierw na ramieniu męża, a potem także na kanapie u Janki, postanowiła walczyć. Jej pierwszą decyzją było złożenie zawiadomienia do prokuratury o popełnieniu przez dyrekcję przestępstwa polegającego na zaniżaniu dochodów. Dosłownie w ostatniej chwili – po rozmowie z główną księgową firmy – powstrzymała

się od tego kroku. Dla Haliny, jej cichego sprzymierzeńca, takie doniesienie mogło oznaczać bowiem poważne kłopoty.

– Nie mogę jej tego zrobić! – oświadczyła Maksymilianowi, drąc na drobne kawałeczki spisany już na maszynie dokument, łącznie z jego kopiami i dwoma arkuszami kalki. – Podciąłabym gałąź, na której przecież sama siedzę!

Ojciec Haliny, zajmujący się produkcją kierpców na Podhalu, stanowił ważny element biznesplanu, który obie kobiety opracowały wiele miesięcy wcześniej. Miał on wspomóc je finansowo w wypadku, gdyby nie udało się spółce pracowniczej przejąć majątku biura w odpłatne użytkowanie, a trzeba go było od państwa wykupić. Bez głównej księgowej i jej zamożnego rodzica Marysia nie mogła liczyć na pokonanie francuskiego stronnictwa.

Maksymilianowi wszystko to wyraźnie się nie podobało. Z dezaprobatą pokręcił głową.

– No nie wiem – mruknął. – Na twoim miejscu trzymałbym się jednak z daleka od wszelkich machlojek. Zwłaszcza teraz, gdy ja jestem na celowniku...

Żona spojrzała na niego przeciągle.

„Ten znowu tylko o sobie!” – pomyślała z niesmakiem, ale nic nie powiedziała.

Doktor Petrycy był uczciwym człowiekiem i cieszył się nieskazitelną opinią, a mimo to – od chwili ujawnienia w prasie jego niemieckiego pochodzenia – przeżywał pasmo nieprzyjemności, upokorzeń i klęsk. Wszystko to rzutowało także na ich wspólne życie. Po ostatnim niepowodzeniu Maksymiliana – przegranej w wyborach parlamentarnych – w małżeństwie Petrycych zaczął się wręcz ostry kryzys. Żadne z nich

na razie o tym głośno nie mówiło, ale oboje czuli, że nie tylko się od siebie oddalili, ale ciągle jeszcze mkną w przeciwnych kierunkach. Zajęci swoimi problemami, nie potrafili w żaden sposób temu zaradzić.

– Pozwól, że zrobię to, co sama uważam za stosowne – urwała rozmowę Marysia, wyrzucając strzępki swego pisma do kosza na śmieci. Od kiedy w styczniu w niewyjaśniony dotąd sposób do prasy przeciekły duże fragmenty pamiętnika babci Isi, wszyscy w domu byli bardzo wyczuleni na punkcie niszczenia dokumentów, które nie powinny się dostać w obce ręce.

Czy w tej sytuacji można było jeszcze mieć głowę do świątecznych porządków i przygotowywania tradycyjnych potraw na wigilię? Udzieliwszy sobie samej rozgrzeszenia, ostatni weekend przed świętami Marysia spędziła zatem na luzie, o ile matka czworga dzieci w ogóle może osiągnąć taki stan w okresie przedświątecznym. W sobotę rano, tuż przed wyruszeniem na wielkie zakupy na plac Na Stawach oraz do domu handlowego Jubilat, znalazła nawet czas na przeczytanie przy porannej kawie „Dziennika Polskiego”.

– Ty, słuchaj! – uśmiechnęła się, przebiegając wzrokiem informacje zamieszczone w Kronice Krakowskiej. – Na święta ma tu podobno zjechać na wycieczkę orbisowską ponad półtora tysiąca Anglików. W trzydziestu dwóch autokarach. Wyobrazasz sobie?

Mąż, ubrany już odświętnie w garnitur i starannie ogolony, oderwał wzrok od „Gazety Wyborczej”, którą wertował po drugiej stronie stołu. Właśnie czytał o pogotowiu strajkowym w Hucie imienia Tadeusza Sendzimira, oblężeniu

Dubrownika przez serbskie wojska oraz żądaniach uznania niepodległości Czeczenii. Na świecie i w kraju działo się dużo, i to działo się źle. Kogo mogły obchodzić takie anegdoty?

– Anglicy? – zapytał bez większego zainteresowania. – Co ty powiesz...

Marysia zmarszczyła brwi. Mimo że jej samej nie było lekko, robiła wiele, by go choć trochę rozśmieszyć i wyrwać z ponurego nastroju. Efekty były jednak mizerne. Maksymilian tak jakby utracił nagle cały dystans do życia i poczucie humoru. Teraz też nie podchwycił tematu, tylko spieszenie dopił kawę. Za chwilę wybierał się na plac Mariacki, gdzie politycy z jego partii organizowali szopkę i mieli rozdawać krakowianom siano na świąteczne stoły.

– Może brzmi to humorystycznie, ale pomyśl, ile miasto zyska na takim nalocie obcokrajowców! Choćby same hotele, które zawsze w czasie świąt świecą pustkami... – spróbowała z innej strony i z powagą odwołała się teraz do jego instynktów społecznikowskich. Był w końcu ciągle jeszcze radnym miasta Krakowa! – Mają być zakwaterowani w Forum, Cracovii, Holiday Inn, Wandzie i Piaście...

– Kochanie. – Maksymilian nawet jej nie słuchał. Wstał od stołu, składając gazetę. – Muszę lecieć. Będę po trzeciej, nie czekajcie na mnie z obiadem.

Poprawił krawat i wyszedł. Nawet przelotny pocałunek, który jej złożył na policzku, nie uratował sytuacji. Marysia pozostała na miejscu, popijając białą kawę, skubiąc chałkę z masłem i wpatrując się przez łzy w notatkę o groźnie brzmiącym tytule: *Najazd Anglików*. Pogrążona w niewesołych myślach nawet nie przeczuwała, że wydarzenie, które

oboje traktowali tylko i wyłącznie w kategoriach anegdoty, może jakoś wpłynąć na ich życie.

Tymczasem w poniedziałek wieczorem, w przeddzień Wigilii, gdy Petrycy przetrzymali kolację i podaną właśnie wiadomość o powołaniu nowego rządu, w domu rozdzwonił się telefon. Odebrał Maksymilian, po czym bez słowa, za to z miną, która nie wróżyła nic dobrego, oddał słuchawkę żonie. Po drugiej stronie przewodu ktoś mówił bez przerwy, dziwną mieszanką języka polskiego i angielskiego, głosem wysokim, świrdującym, nawykłym do wydawania rozkazów.

– Ciocia Pelagia? – Marysia postanowiła wreszcie przerwać zalewający ją słowotok i zadać pytanie, na które – podskórnie – znała już odpowiedź.

– Bingo! – odpowiedział jej radośnie głos w słuchawce. – A więc pamiętasz mnie jeszcze!

Jakżeby mogła nie pamiętać – Pelagia była jedyną żyjącą krewną z pokolenia jej matki. Od czasów powojennych mieszkała jednak w Anglii i Marysia nigdy nie miała okazji poznać starszej pani osobiście. Kursowały za to między nimi kurtuazyjne listy, kartki świąteczne oraz – ku wielkiej uciechu całej rodziny – od czasu do czasu także paczki, przysyłane przez ciotkę w latach kryzysu, pełne niedostępnych w komunistycznej Polsce smakołyków. Zaproszenie do Anglii, które Pelagia wysłała Petrycym po upadku muru berlińskiego, umożliwiło Maksymilianowi uzyskanie wizy i wyjazd do Bristolu w celu wyjaśnienia pewnej rodzinnej tajemnicy. Z ciotką się jednak wówczas nie spotkał – starsza pani nie miała nawet pojęcia, że ktoś z jej zaproszenia skorzystał.

– Co u ciebie słyhać, ciociu? – zapytała Marysia. Było to dla niej zawsze dziwne uczucie, zwracać się tak pieszczotliwie do zupełnie obcej, a jednak bardzo bliskiej osoby. – Jak się czujesz?

– Fatalnie! – oświadczyła Pelagia głosem mocnym jak spichowy dzwon. – Kości mnie bolą, a stawy mam sztywne jak u nieboszczyka! Wszystko przez tę jazdę autokarem. Pomyśl, z lotniska w Wiedniu do Krakowa, tyle godzin na siedząco! A potem spanie w nie swoim łóżku, zbyt miękki materac... I jeszcze ta woda! Co za wodę wy tu macie, od kiedy przyjechałam, ciągle boli mnie brzuch!

Marysia poczuła, jak włosy jeżą się jej na karku. W jednej chwili przypomniała sobie humorystyczną, jak ją nazwała, notkę prasową – i skojarzyła fakty.

– W którym hotelu mieszkasz, ciociu? – zapytała od razu, żeby oszczędzić czasu na wyjaśnienia.

– W Cracovii – odpowiedziała równie rzeczowo staruszka. – Wybrałam ten, który jest najbliżej waszego domu.

Maksymilian, o dziwo, nie wyłączył się mentalnie, jak to ostatnimi czasy często bywało, lecz śledził tę rozmowę uważnie, ze zmarszczonym czołem. Nie musiał wysilać słuchu, by nadążać za jej treścią – ciotka mówiła tak głośno, że każde jej słowo było doskonale słyszalne w pokoju. Widział, jak żona blednie i czerwienieje na przemian oraz – ściskając słuchawkę między brodą a ramieniem – odruchowo zakasuje rękawy.

– Nie! – powiedział doktor bezgłośnie, kręcąc przy tym głową i unosząc dłonie obronnym ruchem. – Proszę, nie!

Marysia w odpowiedzi tylko skinęła twierdząco i poparła ten gest spojrzeniem pełnym treści. Zamierzała zaprosić

niespodziewanego gościa na kolację wigilijną, nawet za cenę wielkiej mobilizacji całej rodziny. Było to rzeczą zupełnie naturalną. Dla cioci Pelagii najwyraźniej też, zaproszenie zostało bowiem od razu przyjęte, choć – jak Marysia wiedziała z gazety – szefowie kuchni w Orbisie mieli przygotować dla brytyjskich gości tradycyjną polską wieczerzę.

– Ale to hotelowe jedzenie szkodzi mi na żołądek! – pokażyła się ciotka na zakończenie. – I nie wiem, czy oni potrafią przyrządzić karpia jak należy...

– Tylko nic nie mów! – powiedziała Marysia do męża ostrzegawczo, unosząc przy tym wskazujący palec, gdy już odłożyła słuchawkę na widełki. – I nie chcę nic więcej słyszeć o żadnych opłatkach, spotkaniach wigilijnych i tym podobnych szopkach! Dziś wieczorem i jutro jesteś tylko i wyłącznie do mojej dyspozycji. Bo dużo roboty przed nami!

Maksymilian odczuwał już od pewnego czasu niejasne wyrzuty sumienia, które potęgowały się za każdym razem, gdy spoglądał na zmęczoną twarz żony i jej podkrążone oczy. Pokiwał więc z rezygnacją głową.

– Dobra. Biorę na siebie sprzątanie – powiedział bohaterko. Po czym, choć skóra mu cierpła na samą myśl, dorzucił: – Może zdążę chociaż umyć okna w salonie na dole...

Pani domu tylko skinęła głową w skupieniu. Już obmyślała plan robót kuchennych na najbliższe godziny oraz na cały jutrzejszy dzień. Dobrze chociaż, że ciasta zamówili w Cracovii! – pozostawało je tylko odebrać w wigilijny poranek. Postanowiła zadanie to powierzyć Ani i młodszym dzieciom.

– Jeszcze jedno mi zostało... – mruknęła w zamyśleniu, nie spuszczając z Maksymiliana spojrzenia tak intensywnego,

że ten aż się pod nim skurczył. – Trzeba będzie jednak dla cioci upolować jakiegoś karpia...

Tym oto sposobem Janka – będąca u Petrycych gościem wigilijnym już od kilku dobrych lat, od czasu rozvodu ze swoim trzecim mężem – została w ostatniej chwili obarczona obowiązkiem zakupu ośmiu niezbyt wielkich, ale mięsistych ryb, koniecznie o różowych jeszcze skrzelach! Marysia i Maksymilian rzucili się zaś w wir przygotowań, z trzepaniem dywanów włącznie. Efekt był zadowalający, na tyle, na ile dało się go uzyskać w budynku pochodzącym z lat trzydziestych XX wieku, który od czasów swej młodości nie przeszedł jeszcze żadnego remontu. Nadal więc futryny drzwi i okien wołały o malowanie, parkiet – o cyklinowanie i nowy lakier, tynki wybrzuszały się tu i ówdzie, a stara instalacja wodna wyła i stukiała potępieńczo, ilekroć ktoś odkręcał kurek. Jeśli jednak to pominąć, w Wigilię po południu dom prezentował się już całkiem czysto, gościnnie i przyzwoicie, no, może z wyjątkiem kuchni na górze, w której Marysia – z dorywczą pomocą męża oraz dzieci – wznosiła się właśnie na szczyty swego kulinarnego talentu.

– O której szanowna ciocia ma przyjechać? – zapytała Janka, wkraczając do tego niewielkiego pomieszczenia i wciągając z lubością zapach świeżo zmielonej kawy, zmieszany z całą paletą zupełnie innych woni.

Maksymilian zdążył już opróżnić jedną z jej siatek i płukał właśnie w zlewozmywaku osiem pokrytych krwią i śluzem karpich tuszek. Tego, czy mają różowe skrzela, nie był oczywiście w stanie sprawdzić, gdyż ryby – jak wspomniano – zaraz po śmierci pozbawione zostały głów.